

Lekcja geografii

Była to normalna lekcja geografii. Jak zwykle. Jest rok 1959. Jesteśmy w szkole – w szacownych, grubych murach Wielkiego Collegium Gostomianum, – naszej Alma Mater,

Na parterze, gdzieś pośrodku budynku jest nasza sala. Wąskie okna o południowo-wschodniej wystawie i przebijające się przez nie światło od południa: od Rybitw, dalej, od kępy wiślanej, a jeszcze dalej, od Wisły, a już całkiem dalej za nią na łasze grupy robotników budujących pierwszą w Polsce Hutę Szkła Okiennego. I te słynne kafary wbijające betonowe słupy pod przyszłe kominy Huty. Kafary słyhać było dzień i noc. Na okrągło.

W klasie przed lekcją panował normalny szum, Dziewczyny opowiadały o pończoszkach stylonowych, które mają schowane pod bielizną w szafie i o chłopcach, którzy im się podobają i dlaczego. Chłopcy natomiast rozprawiali o dziewczynach: która jest ładna, a która zgrabna, a która jeszcze jest nieśmiała. Wtem szum cichnie. Na korytarzu dało się słyszeć energiczne kroki.

Ucichło wszystko. Drzwi były zamknięte, ale ktoś stał za drzwiami. Cisza, Nagle drzwi otwierają się z łoskotem. Staje w nich masywna postać Baćki. Mężczyzna wysoki, przy kości, z łysiejącą głową. Ubrany był nietypowo: traktory na wysokim koturnie, podkolanówki w szkocką kratę, spodnie pumpy (kto tu wtedy nosił podkolanówki w szkocką kratę i pumpy?!!!) – w Sandomierzu nikt. Pumpy i marynarka w kolorze wrzosu. Marynarka kroju półwojskowego z dużą ilością kieszeni, czarny beret. Ma uniesioną dłoń, a w dłoni dziennik lekcyjny na wysokości twarzy. Sylwetka wyprostowana, głowa do góry, oczy patrzą w dal. Zalega absolutna cisza. Wszyscy nieruchomieją, To trwa. W końcu Baćko wchodzi do klasy. Ponowny rwetes, harmider: chłopcy kopią krzesła i ławki, dziewczyny walą książkami o pulpity. Profesor

z uniesioną głową idzie przez klasę do katedry, dłoń z dziennikiem na wysokości twarzy. Odwraca się i jeszcze wyżej unosi dziennik, i z całą mocą rżnie tym dziennikiem o katedrę, W tym momencie tumult jest największy, a potem zapada znowu martwa, absolutna cisza i trwa dopóki prawą ręką Baćki da znak: wszyscy siadają na krzesłach robiąc podobny harmider co poprzednio. Profesor wyciąga karmelka, który ma mu ulżyć w cierpieniu nadkwasoty, wkłada go do ust i pyta. – *„Nu kotuńcie, to co mieliście na dzisiaj przygotować”?*

Piętro wyżej prof. Głuch (Smyk) prowadzi matematykę, wsłuchuje się w dźwięki przechodzące przez grube ściany i mówi *„Wydaje mi się, że piętro niżej prof. Baczyński prowadzi lekcję geografii”*.

Zakuta pała

Jest upalna wiosna 1959 roku. Bezdeszczowa. Mamy lekcję wychowania fizycznego. Chłopcy i dziewczęta rozebrani do strojów gimnastycznych, Ćwiczymy na dziedzińcu szkolnym. Co rusz wiatr podrywa tumany kurzu lessowego, który wchodzi we wszystkie pory ciała. Widząc to nauczyciel zwraca się do mnie: *„Idź Lipowski do woźnego, (a miał fenomenalną pamięć do nazwisk), weź od niego konewkę i polej wodą bieżnię, żeby się nie kurzyło”*. Polecenie przełożonego to rzecz święta. Z profesorem się nie dyskutuje. Poszedłem więc do woźnego, wziąłem konewkę, nabrałem wody i zacząłem polewać bieżnię.

Kątem oka widzę, że od grupy ośmioklasistów, a więc młodszych, ćwiczących po drugiej stronie boiska biegnie w moja stronę jakiś uczeń. Staje przede mną i mówi *„Pan prof. Kwieciński każe ci natychmiast przerwać”* Ja byłem wtedy w IX klasie. Co mi tam jakiś ośmioklasista będzie wydawał polecenia. Nie patrząc na niego i nie zwracając nań najmniejszej uwagi polewałem dalej, Rzuciłem

tylko od niechcenia „*spier....j*” i polewałem dalej. Chłopiec odszedł prosto do prof. Kwiecińskiego, a ja dalej oddawałem się swojej czynności.

Kątem oka widzę jak od grupy ośmioklasistów odrywa się sylwetka samego profesora i szybkim krokiem bieży w moją stronę. Udaję, że nic nie widzę i polewam dalej, jak gdyby nigdy nic. Końcówkę drogi profesor pokonuje nader szybko, jest wzburzony i cały czerwony na twarzy. „*Jak ci mówiłem zakuta pało żebyś przestał lać to trzeba było przestać. Jak się nazywasz, zakuta pało*”? – pada pytanie. O, będzie polka-rozpierdolka, pomyślałem. Lipowski odpowiadam skromnie. Mam wf z prof. Ziolo. On kazał mi lać to leję, i spokojnie lałem wodę dalej. Prof. Kwieciński poszedł do prof. Ziolo i wdali się w dyskusję. O czym rozmawiali – nie wiem. Ja lałem dalej.

Po lekcji prof. Ziolo kiwnął na mnie palcem. Kiedy się zbliżyłem powiedział tylko – „*Dobrze zrobileś*”. To był miód na moją duszę, że nawet największa obelga stawała się błacha. I w ten oto sposób zostałem „*zakutą palą*”.

Włodzimierz Lipowski